

**Witold M. Orłowski**

## **JAKIE SZANSE NA NOWY PORZĄDEK EKONOMICZNY ŚWIATA?**

Nie ulega wątpliwości, że kryzys, który wystąpił w światowej gospodarce w latach 2008–2009, to rzeczywiście Kryzys (pisany dużą literą), a więc coś znacznie więcej niż przejściowa turbulencja. Słowo „kryzys” nie ma jasnej definicji ekonomicznej – nie da się go określić ani skalą spadku PKB, ani głębokością załamania kursów akcji. Miary te nie wyglądają zresztą obecnie tak strasznie. W czasie Wielkiego Kryzysu w latach 1929–1932 w samych tylko USA zbankrutowało ponad 5 tys. banków (obecnie zbankrutował tylko jeden duży bank inwestycyjny, a pozostałe, którym zagroziło bankructwo, zostały albo przejęte przez inne banki, albo częściowo znacjonalizowane). W czasie Wielkiego Kryzysu skumulowana skala załamania amerykańskiego PKB sięgnęła 30% (w roku 2008 spadek PKB w USA wyniósł zaledwie 3%, niewiele więcej niż w czasie „zwyczajnej” recesji w roku 1982). Z kolei indeksy giełdy nowojorskiej spadły podczas Wielkiego Kryzysu aż o 90% (obecnie największy dołek osiągnęły wiosną 2009 r. po spadku o 50% – warto przypomnieć, że w czasie gwałtownego giełdowego załamania w roku 1987 indeksy Wall Street spadły w ciągu jednego dnia o 23%).

Oczywiście takimi porównaniami można się długo bawić, ale w ogóle nie trafiają ono w sedno problemu. Otóż kryzys nie polega na spadku produkcji lub cen akcji – kryzys polega na trwałym, zazwyczaj bardzo gwałtownym załamaniu zaufania. Zaufania wszystkich do wszystkich: klientów do banków, banków do innych banków, obywateli do rządów, pracowników do pracodawców, ludzi do polityki gospodarczej rządu. Gospodarka rynkowa bazuje na zaufaniu – bez minimalnego poziomu ufności przestaje działać. Najlepszym tego przykładem jest sektor finansowy. Groźba bankructwa jakiegokolwiek dużego banku powoduje, że rynek zostaje całkowicie sparaliżowany, z dramatycznymi konsekwencjami dla reszty gospodarki.

Otóż nie ma wątpliwości, że obecnie mieliśmy do czynienia z takim właśnie powszechnym załamaniem zaufania. A najważniejszą ofiarą owego załamania jest wiara w pewien paradygmat rozwoju gospodarczego i model funkcjonowania gospodarki. Paradygmat ten wykształcił się po poprzednim globalnym kryzysie – wówczas nie gwałtownym, ale rozciągniętym na lata. Był to kryzys przeregulowania gospodarki i długotrwałej stagflacji lat 70., przełamanej dopiero „konserwatywną rewolucją” i „monetarystycznym eksperymentem” w krajach anglosaskich. Po kryzysie tym coraz powszechniejsze stało się przekonanie, że właściwy paradygmat rozwoju powinien bazować na makroekonomicznej stabilizacji, liberalizacji rynku i pry-

watyżacji. U podstaw takiego rozumowania leżało założenie o pełnej racjonalności działania ludzi (tylko rządy mogą popełniać systemowe błędy ekonomiczne, prywatne podmioty w swojej masie – nie) oraz o doskonałości działania dostosowawczych mechanizmów rynkowych (które mogą być wypaczone tylko przez błędy regulacji lub monopolizację). Sprawne funkcjonowanie rynku w połączeniu z właściwymi zachętami dla ludzi – nieograniczonym społecznym przyzwoleniem na bogacenie się, którego wyrazem była m.in. seria obniżek podatków dochodowych w USA – miało zapewnić wysoką efektywność gospodarowania oraz wzrost innowacyjności i przedsiębiorczości. Dzięki temu można było pokonać zmorę lat 70., czyli stagflację, uzyskując jej zaprzeczenie – wysoki i bezinflacyjny wzrost gospodarczy. Towarzyszyły temu zjawiska globalizacyjne, które oznaczały stopniowe rozprzestrzenianie się liberalnego, anglosaskiego modelu gospodarczego na całą kulę ziemską, w efekcie zarówno ekspansji ponadnarodowych firm, jak i zwyczajów konsumpcyjnych, a wreszcie coraz wyższy stopień integracji światowych rynków finansowych, możliwy dzięki postępowi technologicznemu. Wszystko to znakomicie funkcjonowało przez dekady, aż do wybuchu kryzysu.

Radykalni krytycy liberalnego kapitalizmu wskazują na kryzys jako dowód, że przyjęty paradygmat rozwoju był całkowicie błędny. Jest to jednak wniosek zdecydowanie przesadny, abstrahujący od faktu niewątpliwego sukcesu rozwojowego odnotowanego w wielu dziedzinach przez świat w ciągu przedkryzysowego ćwierćwiecza. Okres powszechnej deregulacji i globalizacji doprowadził do gigantycznego postępu technologicznego, rozwoju handlu i inwestycji, a narodom, które potrafiły go dobrze wykorzystać, pozwolił na znaczne przyspieszenie wzrostu gospodarczego. Zawiódł jednak o tyle, że nie dostarczył obiecanych mechanizmów rynkowego dostosowania i automatycznej korekty narastającej nierównowagi.

Z kolei obrońcy liberalnego kapitalizmu lubią cały problem sprowadzać do serii błędów popełnionych czy to przez rządy, czy wypuszczające nadmiar pieniądza na rynek banki centralne, czy wreszcie przez wadliwie zarządzane instytucje finansowe. Tu także mamy do czynienia z przesadnym uproszczeniem, polegającym na obronie dawnego paradygmatu poprzez unikanie odpowiedzi na pytanie: skoro był właściwy, to dlaczego nie zadziałały samoczynne mechanizmy regulacyjne, chroniące gospodarke przed narastaniem nierównowagi?

Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nierównowaga zawsze towarzyszy rozwojowi gospodarczemu. Gwałtowny rozwój krajów Dalekiego Wschodu – przy jednoczesnym relatywnym zmniejszeniu roli Zachodu, dążącego do utrzymania swojego niezwykle wysokiego poziomu życia – prowadził do kumulacji ogromnych nadwyżek kapitału w Azji i powstawania ogromnego deficytu kapitału w USA. Niezwykły popyt na kapitał w USA prowadził z kolei do poszukiwania przez sektor finansowy sposobów jego zaspokojenia poprzez generowanie ogromnych ilości płynnych aktywów finansowych, za pomocą których następowało transferowanie pieniędzy z reszty świata. Wynikająca stąd wielka aktywność sektora finansowego przyczyniła się do narastania fal irracjonalnego optymizmu, który kazał lekceważyć ryzyko systemowe, związane z inwestowaniem w aktywa finansowe (zwłaszcza instrumenty pochodne). Wszystko to razem powodowało powstawanie gigantycznej

megabańki spekulacyjnej, której pęknięcie postawiło światową gospodarkę na skraju finansowego załamania. Należy jednak zwrócić uwagę, że czynnikami powodującymi narastanie nierównowagi nie był ani sam neokonserwatywny paradygmat rozwoju (jak chcą jego krytycy), ani trudne do wyjaśnienia serie indywidualnych błędów (jak chcą jego obrońcy). Nierównowaga narastała z przyczyn fundamentalnych, a winą systemu gospodarczego było tylko to, że nie odpowiedział na nią reakcjami obronnymi.

Jeśli system w jakiejś mierze zawiódł, to niewątpliwie wymaga poprawy i uporządkowania – tak jak administracja Roosevelta uporządkowała funkcjonowanie kapitalizmu poprzez wzmocnienie regulacyjnych funkcji państwa w czasach New Dealu, a administracja Reagana zdynamizowała go poprzez deregulację i zachęty dla przedsiębiorczości w latach 80. Tym razem jednak problem, przed którym stoi świat, jest bardziej skomplikowany niż 80 i 30 lat temu. W odróżnieniu od tamtych czasów żyjemy w świecie z ekonomicznego punktu widzenia znacznie bardziej policentrycznym, ze środkiem ciężkości powoli przesuwającym się znad Atlantyku nad Pacyfik. Samo w sobie zjawisko to jest tak oczywiste, że nie ma powodu udowadniać, iż będzie postępowało – skoro na południu i wschodzie Azji mieszka 60% ludności świata, a wytwarza ona tylko niecałe 40% światowego PKB, to proces relatywnie szybkiego rozwoju i wzrostu udziału w globalnej produkcji będzie się w najbliższych dekadach kontynuować (dwa wieki temu region ten wytwarzał około 60% światowego PKB, mamy więc do czynienia tylko z odbudową dawnej pozycji). Oznacza to jednak, że USA w coraz większym stopniu mieć będą w Chinach i Indiach równorzędnych partnerów gospodarczych, przez wiele dekad ustępujących im jeszcze pod względem rozwoju technologicznego i dochodów na głowę mieszkańca, ale bijących ich dynamiką, a z czasem i skalą gospodarki (wszystko wskazuje na to, że w ciągu najbliższej dekady chiński PKB mierzony według siły nabywczej przekroczy i amerykański, i europejski, a indyjski PKB przekroczy PKB Japonii). A skoro tak, to w odróżnieniu od poprzednich okresów reform po wielkich kryzysach, tym razem do uporządkowania i poprawienia mechanizmów funkcjonowania gospodarki niezbędne jest już współdziałanie wielu narodów, o różnych ambicjach, strategicznych celach, interesach, wizjach świata. Zresztą z tego punktu widzenia teza, jakoby o przyszłym kształcie gospodarki mogły zdecydować działające ramię w ramię Chiny i USA (Chimeryka), wydaje się równie naiwna. Ani jedno, ani nawet hipotetyczne dwa supermocarstwa nie będą w stanie zapewnić globalnej gospodarce równowagi bez współpracy z innymi narodami, skala ich dominacji ekonomicznej i finansowej nad resztą świata byłaby bowiem prawdopodobnie na to niewystarczająca (w odróżnieniu od dominacji USA w końcu lat 40. oraz w latach 90., po upadku bloku wschodniego).

Nie ma wątpliwości, że kryzys wymusza myślenie na temat kierunków naprawy. Widać już jednak, że (jak dotąd) proponowane środki są niewspółmierne do wymagań. Główne kraje grupy G-20 nie są w stanie porozumieć się nawet w tak banalnie prostej sprawie jak eliminacja najbardziej skandalicznych błędów w sposobach kształtowania wynagrodzeń bankowców – a co dopiero stworzyć razem zrębów ogólnosiwiatowego, skutecznego systemu regulacji i nadzoru nad rynkiem finan-

sowym. Problem gigantycznej nierównowagi tworzonej przez nadwyżki kapitału w Azji i nadmierną konsumpcję w Ameryce można rozwiązać tylko poprzez wzrost wewnętrznego spożycia w Chinach i drastyczne zaciśnięcie pasa w USA – ale takim rozwiązaniem na krótką metę nie jest zainteresowany ani jeden, ani drugi kraj. Dolar powinien zapłacić wysoką cenę za dekady życia ponad stan w USA, ale osłabienia dolara jak ognia boją się posiadacze ogromnych rezerw walutowych i nowo uprzemysłowione kraje, które swój rozwój oparły na ekspansji eksportowej na rynek amerykański. Oczywiście, rolę takiego wielkiego rynku zbytu mogłaby przejąć Europa – ale to oznaczałoby wejście na tę samą ścieżkę, na której pobłądzili Amerykanie. Słowem, różnice interesów na razie skutecznie blokują jakąkolwiek skuteczną, wspólną akcję głównych światowych graczy. A przecież sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana – niewykluczone bowiem, że przy stole negocjacyjnym powinny zasiadać nie tylko rządy głównych krajów, lecz także przedstawiciele świata wielkich korporacji, bez których zapewne nie da się znaleźć skutecznych rozwiązań zwiększających globalne bezpieczeństwo ekonomiczne. A być może również jakaś reprezentacja społeczeństwa obywatelskiego (roli tej na pewno nie odegrają radykalne grupy alterglobalistyczne, które usiłują zająć takie miejsce).

Co gorsza, obecny kryzys prawdopodobnie wcale jeszcze nie minął. Najpierw mieliśmy do czynienia z kryzysem finansowym (groźbą załamania rynków finansowych i masowych bankructw banków). Sektor finansowy został uratowany dzięki bezprecedensowej akcji, podjętej przez rządy i banki centralne, ale za cenę zaciągnięcia przez rządy gigantycznych długów. Drugą fazą kryzysu, przez którą przeszliśmy w roku 2009, była recesja i wzrost bezrobocia. Również ta faza powoli mija, choć pozostałością po niej są kolejne ogromne długi, pozaciągane przez rządy. Wszystko wskazuje więc na to, że kolejną fazą może stać się kryzys zadłużenia rządów, którym coraz trudniej będzie obsługiwać narosłe zobowiązania. Po niej zapewne przyjdzie faza światowej inflacji i pozwoli rządowi skutecznie pozbyć się części zadłużenia kosztem inwestorów, którzy kupili oprocentowane według stałych stóp procentowych obligacje. A za tym nastąpi zapewne faza walki z inflacją, którą będą musiały podjąć głównie banki centralne świata, za cenę ponownej recesji.

Wygląda więc na to, że kryzys lat 2008–2009 nie wystarczy do tego, by gospodarka światowa została trwale ustabilizowana, a jej funkcjonowanie uległo poprawie. Jest też mało prawdopodobne, by udało się ustalić jakikolwiek naprawdę poważny pakiet globalnych reform, które stworzyłyby nowy ład ekonomiczny. Rozwojowi światowej gospodarki w nadchodzącej dekadzie raczej będzie nadal towarzyszyła ogromna nierównowaga i pojawiające się regularnie fale destabilizacji. Albo nauczymy się z tym żyć, albo zostaniemy zmuszeni do zmiany po nowym, jeszcze większym kryzysie, który kiedyś może nadejść.